



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Marian Wieczorek

Dzieciństwo u bauerów

Urodziłem się w małej wiosce 5 czerwca 1939 roku. Było to zatem niecałe trzy miesiące przed wojną. Moje wczesne dzieciństwo przypadło na lata wojny. Jasne jest, że z tego okresu nie pamiętam wielu rzeczy.

Pierwszych dwóch lat wojny nie pamiętam. W chwili wkroczenia Niemców w pobliżu naszego domu zorganizowano kuchnię, ale tylko przez jeden dzień wydawano zupę. Niemcy poszli dalej. Rodzice na wieść o wojnie uciekli do sąsiedniej wsi. Ja miałem wtedy trzy miesiące, a starszy brat pięć lat. Nocowaliśmy w piwnicy. Ale na drugi dzień wróciliśmy do domu.

Z chwilą wkroczenia Niemców zaczęły się „porządki” w stosunku do Żydów. W pobliskim miasteczku, odległym o 5 kilometrów, stanowili oni więcej niż połowę mieszkańców. Byli oczywiście właścicielami. Niemcy mieli co od Żydów odbierać. A zabierali im wszystko co mieli, zaś ich samych wywozili. Chcąc sobie zjednać miejscową ludność, pozwolili Polakom brać z tych zapasów, co kto może. Mama przyniosła wtedy do domu ok. 50 kilogramów mąki.

Przez 9 miesięcy byłem bardzo chory (biegunka, wymioty). W końcu wyszedłem z tego dzięki pomocy aptekarza z pobliskiego miasteczka. Ojciec do pracy nie chodził i utrzymywaliśmy się z dorywczej pracy rodziców oraz z pieniędzy, które uzyskaliśmy ze sprzedaży krowy.

Tak było niecałe dwa lata. Bardzo ciężkie były to lata. Zwrot nastąpił 15 czerwca 1941 roku, kiedy to w gminie ogłoszono, że można się zgłosić do pracy” w Niemczech. Ludzie, którzy nie mieli pracy i którym było bardzo ciężko zainteresowali się tym. Ojciec zdecydował się, że pojedzie. Czy miał inne wyjście?

Do Koniecpola odwiózł nas gospodarz ze wsi – pan Żmuda. Stamtąd pojechaliśmy koleją do Częstochowy, gdzie zgromadzono wszystkich chętnych do pracy. Potem było badanie lekarskie. Szkołuł polegał na tym, że potrzebowano mężczyzn, więc mógł jechać tylko ojciec. Ale sam nie chciał. Niemiec „dyrygujący” zdecydował – „niech jada”.

Stacją docelową był Dortmund. Tu przywiezionych zgromadzono w barakach, gdzie czekali do rana, gdyż pociąg dotarł tam wieczorem. W barakach zgromadzono osobno mężczyzn, osobno kobiety z dziećmi. Ale z dziećmi nikt pracowników nie chciał. Czekaliśmy cały dzień. Najbliższy Arbeitsamt był w Ludighausen.

Dostaliśmy przydział do bauera nazwiskiem Borekhaus. Zastaliśmy już tam Polaków. Jan i Witka jak mogli, tak nam pomagali. Umieszczono nas w stodole. Za posłanie służyły worki napełnione słomą. Na posiłki nie mogliśmy nawet wejść do kuchni. Całe dni rodzice pracowali, a my z bratem mogliśmy poruszać się tylko po podwórku, z którego nie wolno nam było nigdzie wyjść. Przyszły żniwa i stodoła

stała się potrzebna. Wtedy przeniesiono nas do garażu, z którego samochód odjechał na wojnę. Nie było tam okna, ani ogrzewania, a posłanie niewiele się zmieniło.

Polakom, którzy nas odwiedzali, nie spodobał się stosunek bauerostwa do nas. Jeden z Polaków powiedział, że napisze w naszym imieniu do Arbeitsamtu o warunkach, w jakich żyjemy. Za dwa dni, tuż przed Wszystkimi Świętymi, zajechała taksówka. Gości przyjął zarządca August, gdyż gospodarze byli w uzdrowisku. Przyjezdni obejrzeni warunki, w jakich mieszkamy. Nawet nic nie pytali, po czym odjechali. Za parę dni przyjechała po nas bryczka. Powoził nią Theodor Heuckmann – nowy nasz gospodarz, który zabrał nas do siebie. Odtąd zaczął się inny, lepszy dla nas okres życia.

Nasi nowi bauerzy nazywali się Antonina i Theodor Heuckmann. Byli w wieku mniej więcej moich rodziców, ale dzieci nie mieli. Gospodarstwo ich nie było zbyt duże, gdyż oprócz nas nie było innych pracowników. Oczywiście pan Heuckmann nie przywiózł nas na wczasy. Dostaliśmy pokoik na górze jego domu, gdzie wniesiono piecyk. Wszystko było urządzone „na glanc”. Warunki zmieniły się na bardzo dobre. Dla mnie było nawet osobne łóżeczko.

Ojciec pracował cały dzień. Gospodarz często z nim rozmawiał i nie traktował go jak niewolnika, ale jak zwykłego pracownika, z którym mógł sobie pogawędzić. Mama była mniej obciążona pracą niż ojciec. Miała za zadanie dojenie krów (było ich 16), co zajmowało około 1 1/2 godziny. Pomagał jej brat Zdzisiek i wtedy było szybciej. Resztę czasu mogła poświęcić nam. Posiłki spożywałyśmy razem z gospodarzami, tyle że przy osobnym stole. Na śniadanie dzieci, czyli my, dostawaliśmy mleko, rodzice – czarną kawę.

Mną bardzo interesowała się bauerka. Pilnowała mnie, abym wszystko zjadł, gdy mama szła do pracy. Zabierała mnie do siebie i stroiła w różne sukienki i fartuszki, a potem pokazywała mnie mamie.

W czasie zimy ojciec miał pracę w lesie, przy zwózce i obróbce drzewa i przy innych zajęciach. Latem utrzymywał żywopłot i wykonywał inne roboty.

Tak przeszło do czerwca 1942 roku. 15 czerwca mama urodziła moją siostrę Marię. Bauerka bardzo interesowała się moją siostrą i po jakimś czasie zaproponowała: „Ty, Kazimira, masz już dwoje dzieci, może więc odpiszesz swoją córkę na mnie. Dostanie wszystko po nas”. Ale mama się nie zgodziła. Zostaliśmy przeniesieni przez gospodarzy do małego domku oddalonego od tamtego o 200 metrów.

Na początku 1942 roku rozpoczęły się bombardowania. Zaraz też do naszego bauera zjechał nauczyciel i przywiózł z sobą dwóch synów w naszym wieku. Mój brat tak zaprzyjaźnił się z jednym z nich, że bez przerwy z nim przebywał. Nic dziwnego zatem, że prędko nauczył się mówić po niemiecku.

Tak płynęły dni, miesiące, lata. Rodzice pracowali, a my zostawaliśmy sami na ten czas. Mama co prawda była częściej wolna, ale nawet posiadanie małego dziecka nie zwalniało jej od obowiązków. Wtedy te obowiązki przejmował starszy brat Zdzisiek. Mama przynosiła nam jedzenie w koszyku. Śniadanie robiliśmy sami.

Jak już wspomniałem mieliśmy dużo wolnego czasu, bo rodzice musieli nas zostawiać samych. Rolę opiekuna pełnił starszy brat – Zdzisiek. Niedaleko od naszego domu mieszkał listonosz, niejaki Gajewski, z pochodzenia Polak, ożeniony z Niemką. Miał 10 dzieci. Myśmy ich odwiedzali. Dostaliśmy od niego sukę – czarną, podpalaną, imieniem Aza. Z tą suką tośmy z bratem wyczyniali hece. Najczęściej polegały na tym, że jeden z nas przebierał się w jakieś lachmany, okrywał szerokim płaszczem i podchodził do domu, a drugi z psem wychodził naprzeciw i szczuł tamtego. Ona chodziła z nami wszędzie i nie pozwoliła nikomu nas dotknąć.

Tak minął rok 1942, potem 1943, 1944 i pierwsza część 1945. Jeśli chodzi o te lata, to praca i życie przebiegały podobnie, jak to wcześniej opisałem, jednak z pewnymi wyjątkami. 31 lipca 1943 roku urodził się w szpitalu mój brat Julek, a 2 listopada 1944 roku brat Janek.

Jeszcze pamiętam czas bombardowania. Przypominam sobie ten złowrogi dźwięk. Pamiętam też, że często przed bombardowaniem spadały z nieba takie zeszyciki z pociętą na drobne paseczki folią. Było tego mnóstwo i biegaliśmy po polu, żeby zebrać. A potem rozlegał się ten charakterystyczny dźwięk ciężkich bombowców. Jak sobie przypominam zwykle naloty odbywały się falami. Gdy tylko usłyszeliśmy charakterystyczny głos bombowców, kryliśmy się w rowie odległym od naszego domku o około 50 metrów. Stąd można było widzieć lecące samoloty, a w nocy łuny palących się obiektów, a także ognie armat broniących tych obiektów.

Wreszcie nadszedł rok 1945. To był rok wyzwolenia. W kwietniu 1945 roku w Wielki Piątek na teren bauera weszli Amerykanie. Pamiętam, że tego dnia na polu obok naszego domku zauważyłem poligon wojskowy – czołgi, wozy pancerne, namioty, oczywiście żołnierzy. Gdy podeszliśmy do nich, dali nam mnóstwo czekolad i słodczy. Ale na drugi dzień to znikło – poszli dalej.

Od tego czasu rządy się zmieniły. Zaczęły działać władze okupacyjne, w tym przypadku amerykańskie. Ale u nas nic w zasadzie się nie zmieniło – w dalszym ciągu rodzice pracowali u bauera, tak samo mama przynosiła jedzenie itp.

Z nadejściem kwietnia 1945 roku przyszło dla nas wyzwolenie, a dla Niemiec okupacja. Nastąpiły władze, którym Niemcy musieli się podporządkować. Ponieważ domek nasz był na uboczu, stał się

miejszem spotkań Polaków pracujących w sąsiednich gospodarstwach. Środowisko polskie było bardzo prężne od samego początku. Wiadomo było, że naszych w Niemczech jest bardzo wielu i należy ich „zagospodarować”. Ktoś musiał się tym zająć. Pamiętam, że zaraz otworzono szkołę polską. Poszliśmy razem z bratem. Były tam siostry PCK, które orzekły, że brat nadaje się do szkoły, a ja jestem za mały. Miałem wtedy 6 lat. Zaczęłem wówczas tak głośno płakać, że się nade mną zlitowały i przyjęły mnie do szkoły.

Do szkoły było około 25 kilometrów. Zabierała nas tam karetka sanitarna. W sanitarce jako opiekunki jeździły Angielki. Ja byłem ich ulubieńcem – miałem piękne, kręjące się blond włosy. Dlatego też najczęściej było tak, że wszyscy uczniowie siedzieli w części tylnej sanitarki na ławach po bocznych stronach samochodu, a ja na kolanach u pani w soferce. No cóż, stałem się wtedy uczniem. Nie pamiętam jednak z tej szkoły nic poza tym, że dostawaliśmy tam filiżankę kakao. Bardzo mi to smakowało.

Z chwilą wyzwolenia pojawił się kapelan wojskowy, ks. Jan Planeta, który aktywnie zaczął przygotowywać młodzież do I Komunii Świętej. Kandydaci różnili się wiekiem, a ks. kapelan miał mało czasu, więc też przygotowanie do tego sakramentu trwało krócej. Brat przyjął Komunię św. 30 października 1945 roku w Ascheberg.

Sytuacja zmieniła się jesienią 1945 roku. Pewnego razu przed dom podjechał czołg i kazano nam się zbierać. Można było wziąć z sobą najpotrzebniejsze rzeczy, trochę bielizny i 5 królików. Dobrze, że chociaż dzieci pozwolili wziąć. Przecież oprócz rodziców byliśmy my. Zdzisiek miał 11 lat, ja 7, Maria 4, Julek 3, Jasiu 2. Pamiętam, że w tym czołgu było bardzo ciasno. Zawieziono nas do jakiejś miejscowości, a potem transportem samochodowym do „lagrów” do Paderborn. W Paderborn było 11 bloków, takich mniej więcej jak koszary wojskowe. Tu już życie było trochę ustabilizowane. Przede wszystkim dziećmi się ktoś zajął. Mieliśmy różne zajęcia świetlicowe. Do tych zajęć zachęcały jeszcze podarunki – każdy dostawał mydło i czekoladę. Ja do domu przynosiłem tylko mydło. W jednym z tych 11 bloków mieliśmy mieszkanie. Było ono duże. Po lewej stronie od drzwi mieszkaliśmy my (były piętrowe łóżka), a po drugiej – Tadeusz i Maria (Ukrainka).

Trzeba powiedzieć, że tam dzieciom nie dano zbijać bąków. Od razu się za nie wzięto. Zaraz powstała organizacja harcerska, a także zuchowa. Mój brat, jako starszy, mógł wstąpić do harcerzy, ale mnie pozostała tylko organizacja zuchów. Zapisalem się do niej. Dostałem na początku, jak każdy, materiał na mundur, no i terminarz zbiórek. Pamiętam, że po wstąpieniu do zuchów, trzeba było jakoś starać się o współpracę z harcerzami. Oczywiście to było blefowanie, gdyż cała rzecz polegała na tym, że przecież i starsi i młodsi są Polakami i nie ma tu różnicy w poglądach. Jest tylko różnica wieku. Na szczęście znaleźli się ludzie, którzy od razu zaczęli wskrzeszać Polskę.

Z pobytu w blokach pamiętam trochę faktów. Miałem samochodzik z przyczepką, niebieski, nakręcany na kluczyk. Podobno dostałem go od Polaków. Wiem, że wyżywienie zależało od UNRRA. Codziennie zajeżdżały samochody – transporty z żywnością. Było tego aż nadto. Myśmy byli w tej dobrej sytuacji, że znajomy pan Tadzio dzielił żywność, a więc najpierw przydzielał nam, sobie i znajomym. Nikt go przecież z tego nie rozliczał.

Jako mały chłopak nie siedziałem cały czas w domu. Wyjścia za bardzo nie było, ale przez bloki można było się wydostać. W pierwszym okresie bardzo nam to odpowiadało. Trafiliśmy na takie baraki, w których były jakieś dziwne urządzenia, pełno śrubek, nakrętek, tulejek itp. Bardzo nam się to podobało. Byliśmy jednak zaskoczeni, gdy pewnego razu baraków już nie było. Po maszynach nie było śladu, a pozostało tylko trochę śrubek i nakrętek.

Z tamtych czasów pamiętam też, że pewnego razu zamordowano kogoś strzałem w plecy. Jak ja się strasznie bałem, bo to było w naszym bloku i ja ten strzał słyszałem.

Z pobytu w Paderborn pamiętam jeszcze, że między blokami były głośniki, przez które nadawano komunikaty, ale też i różne piosenki.

W Paderborn przebywaliśmy do kwietnia. Potem obóz zlikwidowano. Należało zdecydować się, gdzie się chce emigrować. Tu była dowolność. Niezdecydowanych wywieziono do Haltem. Ale tu nie było bloków. Ze względu na to, że nas było dwoje rodziców i pięcioro dzieci, wykwaterowano z domu rodzinę niemiecką i nas tam umieszczono. Tam już przebywaliśmy do końca, tzn. do momentu wyjazdu.

Wreszcie w czerwcu 1946 r, trzeba było ostatecznie zdecydować, gdzie się chce wyjechać. Ojciec postanowił, że do Polski, do domu. Tam czekała na niego chora matka. Całą noc jechaliśmy pociągiem do Szczecina. Potem już drogi się rozchodziły. Nasza wiodła przez Częstochowę, a ostatnią stacją był Konicopol. W tzw. międzyczasie w Poznaniu, a właściwie koło Poznania, w szczerym polu „Ruscy” zatrzymali pociąg i zaczęła się grabież. Nie opłaciło się wieźć nic cennego, bo odbierali złoto, kosztowności itp. Nam nic nie zabrali, bo nie było co. Wreszcie ostatnia stacja – Konicopol. Wysiedliśmy. Ale do domu jeszcze około 30 kilometrów. To był koniec czerwca 1946 roku. Ojciec poszedł te 30 kilometrów do swojej wsi, aby zamówić kogoś do przyjazdu furmanką po nas. Przecież najmłodsi mieli – Jaś 2 lata, Julek 3 lata. I znowu przyjechał po nas pan Żmuda. Wreszcie dotarliśmy do domu.